Nr. 33. (nadzwyczajny — dodatkowy) Lwów, — 1893 r. Wydawnictwa Rok XVI.

GONIEC i ISKRA

Czasopismo illustrowane.

Do naszych Czytelników.

Wkrótce, bo już za parę tygodni, rozpoczynamy *siedmnasty rok* naszego wydawnictwa. Takie lata dla mężczyzny — to mleko pod nosem, dla kobiety — najśliczniejsza wiosna, dla pisma perjodycznego w Galicji — to już siwizna, ze zmarszczkami, z doświadczeniem, z zasługami i... z dziurami w kieszeni. Jak tam było, tak było — ale wytrwać przez lat *szesnaście* wśród tych miłych galicyjskich stosunków, gdzie nie raz chce się, i śmiać, i płakać, i drwić razem aż do krwi — wytrwać przez lat *szesnaście* na jednem miejscu opędzając się ciągle od zniechęcenia, broniąc się od skwaszenia i połykając całe tuziny gorzkich pigułek — to nawet w tamtym świecie, przy ogólnym rachunku z życia, musi być policzone za *plus*, którego ciężar znihiluje całą gromadkę małostkowych *minusów*.

Za drobne uchybienia w wydawnictwie, które pochodziły zawsze z przyczyn niezależnych od redakcji, a które, zresztą, staraliśmy się naprawić, najserdeczniej naszych prenumeratorów, przepraszamy.

Począwszy od Nowego Roku *Gońca i Iskrę* wraz z *Wesołym Kurjerkiem* w ten sposób zorganizujemy, że rozesłanie numerów odbywać się będzie *cztery razy* na miesiąc. Bliższe pod tym względem szczegóły, znajdą czytelnicy w numerze rozpoczynającym rok 1894 — tu tylko nadmieniamy, że wszyscy prenumeratorowie, jak dotąd, tak i nadal otrzymywać będą *bezpłatnie „Wesołego Kurjerka“*, gdy są prenumeratorami *Gońca i Iskry* i, że obydwa pisma zawsze będą illustrowane.

Drukująca się obecnie powieść: „Zwalczona duma“ ukończoną zostanie w styczniu a w numerach rozpoczynających rok 1894 natychmiast zacznie się drukować *nowa bardzo zajmująca* powieść — nadto, liczne działy pisma, przy rozszerzonem współpracownictwie, będą bardzo ożywione, interesujące, ciekawe i pouczające również, jak i dział illustracyj. Aby ukończyć prędko drukującą się powieść „Zwalczona duma“, wydawać szybko będziemy dodatkowe numera przeważnie z samą tą powieścią, a koniec jej dołączymy do numerów rozpoczynających rok 1894.

To jeszcze nie wszystko.

W roku przyszłym, mianowicie w marcu, przypada *stuletnia* rocznica *Kościuszkowskiego powstania*. Otóż, wszyscy prenumeratorowie *Gońca i Iskry* wraz z *Wesołym Kurjerkiem*, bez wyjątku, otrzymają w miesiącu kwietniu 1894 r., jako *premium bezpłatne* dużą rycinę przedstawiającą **wszystkich hetmanów polskich** aż do **Tadeusza Kościuszki** włącznie. Rycina ta na ładnym papierze, obejmować będzie *trzydzieści pięć* portretów w historycznie wiernem odzieniu i uzbrojeniu, a zostanie tak wykonana wśród emblematów narodowych i takiej wielkości, że oprawiona w odpowiednie ramy, będzie stanowić piękny pamiątkowy obraz na ścianę dla każdego domu polskiego. — Nadto, nowi prenumeratorowie *Gońca i Iskry* wraz z *Wesołym Kurjerkiem*, którzy opłacą **półroczną** prenumeratę, oprócz powyższego premium, otrzymają drugą premję natychmiast *bezpłatnie* franco: powieść w formacie książki p. t. **Bez szczęścia** przez M. Dzikowskiego-Chamskiego.

Płacący abonenci prenumeratę **za cały rok** z góry, oprócz dwóch powyższych premij otrzymają jeszcze bezpłatnie franco natychmiast trzecią premję mianowicie: **Klejnoty humoru, satyry i dowcipu polskiego** *illustrowane.*

Prenumerata *Gońca i Iskry* wraz z *Wesołym Kurjerkiem* wszelkiemi, premiami i dodatkami wynosi:

We Lwowie i na prowincji w Galicji, oraz w całem państwie austrjackiem z przesełką pocztową rocznie: **8 złr.**, półrocznie: **4 złr.**, kwartalnie: **2 złr.**

W Poznańskiem, Prusach Zachodnich, na Szląsku i w całych Niemczech — rocznie: **16 marek**, półrocznie: **8 marek**, kwartalnie: **4 marki.** — We Francji i w innych krajach Europy: rocznie: **20 franków**, półrocznie: **10 franków**, kwartalnie: **5 franków.**

W Ameryce północnej — rocznie: **4 dollary**, półrocznie: **2 dollary**, kwartalnie: **1 dollar.** — W Ameryce południowej, Australji, w Brazylji i w innych krajach zaoceanowych — rocznie: **25 franków**, półrocznie: **13 franków**, kwartalnie: **7 franków.**

Prenumeratę i wszelkie należytości najdogodniej przesełać *przekazami pocztowymi*, albo w *listach pieniężnych*, lub *rekomendowanych* pod adresem:

Administracja „Gońca i Iskry“ we Lwowie, *ulica Kraszewskiego 23.*

Z Ameryki można przesłać prenumeratę *dollarami papierowymi* w *listach rekomendowanych* (registre) Można także przesłać *przekazem pocztowym.*

A teraz jeszcze jedno.

Wszystkich dotychczasowych naszych prenumeratorów najuprzejmiej i najusilniej prosimy, aby zechcieli tak zaległą, jak i bieżącą prenumeratę odsełać spiesznie i nie zmuszać nas do osobnego przesełania rachunków i upominania się o wyrównanie takowych. Prosimy pamiętać o tem, że patrjotyczna praca redakcji pisma polskiego zasługuje na obywatelskie poparcie, a wyrządzenie jej krzywdy w jakikolwiekbądź sposób, jest potępienia godne i niczem się usprawiedliwić nie da.

Nowych prenumeratorów prosimy o wczesne nadsełanie prenumeraty celem regulowania wysokości nakładu. Prenumerować można *w każdej chwili* bez względu na zaczęty kwartał, lub miesiąc. Numera zaległe z początkiem drukujących się powieści, oraz *premie* wysełają się *natychmiast.*

Redakcja i Administracja
„Gońca i Iskry“
wraz z **„Wesołym Kurjerkiem“**
we Lwowie.

Teatr — koncerta — widowiska.

Pięcioaktowy dramat: *Na wyżynach*, przedstawiony w tych dniach na lwowskiej scenie po raz pierwszy, zdaniem naszem, należy do tych zdrowych dzieł dramatycznych, których tendencja sięga głębiej w stosunki społeczne, a nie burzy ich i nihilizuje uznając i podnosząc dodatniość i siłę duchową wszędzie, gdzie ona jest. Autorem *Na wyżynach*, jest Ganghofer, nie aktor, jak twierdzą niektórzy, lecz dziennikarz wiedeński — tłomaczenie polskie z wyjątkiem kilku błędów językowych, dobre i miejscami nawet, silne. — Dramat pod względem budowy scenicznej, skonstruowany jest umiejętnie i nie grzeszy zbytnią luźnością epizodów i rozwlekłością sytuacyj — pod względem literackim, nie ulega najmniejszej wątpliwości, posiada wiele znamion niepośledniego talentu. Używanie w silnych sytuacyach dramatycznych grzmotów, piorunów i wichrów trochę, co prawda, melodramatycznie koloryzuje te sytuacje, ale autor *Na wyżynach*, zrobił to jakoś zręcznie, a powalenie bohatera dramatu, bohatera złego, powalenie o ziemię, na śmierć, przez samą siłę popełnionej zbrodni — jest rysem etycznym, siłą sprawiedliwości bożej, o której, jednak, autor w całym dramacie, ani jednem słowem nie wspomina. Drobnych usterek, jest w dramacie kilka — pomijamy je, wszakże, bo szkoda czasu, no i miejsca, na takie bagatelki, które, zresztą, całości dzieła nie osłabiają.

Główną postać w dramacie, owego pnącego się na wyżyny i spadającego z nich na śmierć, grał pan Żelazowski, bez przesady, wspaniale. W tem określeniu gry artysty, pragniemy zamknąć wszystko, co tylko o grze aktorskiej znakomitej i skończonej można powiedzieć. Pan Żelazowski, widocznie, znajduje się w tem stadjum rozwoju swojego talentu, w którem, istotnie, indywidualność artystyczna, skrystalizowała się i wypełniła, że się tak wyrazimy, całą duszą artysty..

Jest w tym dramacie kobieta, stanowiąca ofiarę dla ambicyj i żądzy „wyżyn“ kochanka i z którego ręki ginie. Postać ta, w której siła odporna, obrona własna, wystrzela na progu śmierci, tuż przed samą katastrofą — postać to, jako studium aktorskie, jest niezwykle trudne, bo łamiące się i mieniące pod względem indywidualnym, której jednak, psychologicznej konsekwencji odmówić nie można. Postać taką grała pani Żelazowska — grała z głębokiem uczuciem i z wielką siłą dramatyczną — to też w grze artystki postać ta rysowała się wyraźnie, ze wszelkiemi odcieniami duszy nieszczęśliwej kobiety.

Z większych ról podnieść należy poważną i pełną zawsze życiowej prawdy, grę pani Siemaszkowej, oraz spokojne i bardzo umiejętne odtworzenie postaci starego fabrykanta Sölmana przez p. Chmielińskiego. Z mniejszych ról, wyróżnił się niezmiernie prawdziwem, a szlachetnem traktowaniem postaci robotnika p. Jaworski (Werner). O panu Wostrowskim, w małej rólce jakiegoś skaczącego konika rozromansowanego, tyle powiedzieć możemy, że posiada dobry materjał na aktora, ale od czuba aż do pięty heblować trzeba — i właśnie w tem rzecz, iż jest co heblować, bo gdzie niema nic, tam, wiadomo — nawet król traci swe prawa...

Bardzo niewdzięczną i pobieżnie kombinowaną figurą, niby kochanka w dramacie, grał p. Kliszewski z niezwykłą starannością.

Z gromadki epizodycznych potrzebnych, zresztą, do illustracyj aktu piątego, postaci oczywiście wyróżnić się musieli pp. Ruszkowski, Feldman i Otrembowa. — Reżyserja całego dramatu, nie pozostawiała nic do życzenia.

Koncert pani Wąsowskiej i Weychert, warszawianek, pierwszej pianistki, drugiej śpiewaczki, odbył się w tych dniach w lwowskim teatrze w obec nie licznej publiczności. Panna Wąsowska — to pianistka pierwszej wody — owładnęła instrument zupełnie i gra

...we skończonym artyzmem. Śpiew pani Weychert, jest dokładny, że się tak wyrazimy, rozsądny, szkoła poprawna, głos sopranowy o brzmieniu nisko silniejszem, dość wyrobiony i czysty — ale śpiew pani Weychert głębszego wrażenia nie jest w stanie wywrzeć z estrady — w operze zaś, podobno p. Weychert wcale nie występuje.

Nie zdarzyło mi się widzieć na scenie dramatu, w którym się tak dużo gada, a o którymby można tak mało powiedzieć, jak o *Jakóbie Warce* p. Zglińskiego, sztuki przedstawionej u nas, właśnie, po raz pierwszy w ubiegłą środę. Pomysł do samego dramatu, z nienawiści jednej rodziny do drugiej i sakramentelny kwiat miłości syna Capuleta z córką Montechi, nie robi zaszczytu poetyckiej inwencji p. Zglińskiego, znanego między innemi i z tąd, że w poezjach swoich ma zawsze brwi ściągnięte i ponuro spogląda na około siebie. Ani jednego też promyka słonecznego nie widać w *Jakóbie Warce*. Zresztą, o promyk mniejsza — to jest rzeczą autora, gdzie sięga jego dusza — ale w dramacie p. Zglińskiego nie widać nawet tego talentu, który w jego poezjach znajduje się. Według naszego zdania, *Jakób Warka*, jako utwór sceniczny, nawet, jako dzieło literackie — jest pracą chybioną, a tak luźną pod względem sytuacyj, kolizyj, kreślenia postaci i sensu, że inaczej tego nazwać nie można, jak siekaniną awantur finansowych z garnirunkiem miłości i z przyprawą mózgu amanta... Gra artystów w tym dramacie formalnie rozpryskiwała się, a zupełne pustki w teatrze zaraz na pierwszem przedstawieniu tej sztuki, deprymująco oddziaływały na scenę i nawet na tę garstkę publiczności.

Swoją drogą p. Woleński oddał cały swój talent na usługi roli głównego bohatera dramatu i, co tylko mógł, jako artysta, zrobił. To samo należy powiedzieć o p. Chmielińskim, który grał, Warkę, ojca, wichłacza finansowego. Bezbarwnie blado i banalnie skreślone dalsze postacie, grali, mimo to, pp. Jaworski (Werner) Hierowski i Dębicki, oraz panie: Stachowicz, Pankiewicz i Otrembowa, bardzo starannie. Pan Feldman za odegranie dwóch scen epizodycznych żydka z kantoru — on, jedyny, nagrodzony został po dwakroć oklaskami przy otwartej scenie. To poniekąd daje miarę, co się z całego dramatu najlepiej publiczności podobało...

Zwalczona duma

przez

Beniczky-Bajza.

Przekład z węgierskiego.

(Ciąg dalszy — patrz numer 31).

Czarna, z wielką prostotą skrojona sukienka żałobna wielce podnosiła przejrzystą, niemal, białość jej płci, przy której tem wyrazistszym kontrastem odbijały czarne brwi, rzęsy i włosy. Tylko sposób mówienia, miała jakiś krótki, węzłowaty, stanowczy, niezupełnie odpowiedni do jej wieku i wyglądu; psuło to cokolwiek wrażenie, jakie urodą swą na Marka wywarło i rozwiewała przejmujący go zachwyt.

Od ogrodniczki już wiedział, że wiekowy ów pan, towarzyszący hrabiance, był ej stryjem rodzonym, hrabią Giovanni'm, bratem zmarłego jej ojca.

Bez ruchu, z zapartym w piersi oddechem, stał Marko w zaroślach, czekając przejścia osób, z któremi spotykać się nie chciał; wtem, nad wszelkie spodziewanie, mały piesek, którego wpierw nie spostrzegł wpadł do jego kryjówki i głośno szczekać zaczął. Oczywiście, cofać się, uchodzić, byłoby śmiesznie i nie zręcznie, a wreszcie już zapóźno; hrabia z synowicą byli tuż blizko, nie było innej rady, jak wystąpić ukłonić się i przedstawić.

— Jestem doktor Germana — rzekł, uchylając kapelusza przed hrabią i hrabianką nad wszelki wyraz zdziwionymi jego nagłem, niby wyrośnięciem z ziemi.

— Ach! to pan leczysz naszego ogrodnika! — zawołała uprzejmie Dora, owzajemniająa ukłon.

— Tak, pani, zasnął nieborak, więc wyszedłem trochę przejść się po jego ogródku, lecz piękny ten park zwabił mnie swojem sąsiedztwem i oto dla tego widzicie mnie państwo przed sobą.

— Jakże się miewa chory? — zapytał hrabia, niewiele przywiązując uwagi do słów, któremi Marko usprawiedliwiał swoją obecność w parku.

— Stan jego jest obecnie jeszcze bardzo groźny, nie mogę, jednak, powiedzieć, aby był beznadziejnym.

— I cóż mu jest mianowicie? — zapytała Dora.

— Ma silne zapalenie mózgu.

— Jakto, i pan podejmujesz się wyleczyć go z tej choroby?... — zawołała Dora, a w głosie jej tyle było ironji, impertynenckiej nieufności do młodego lekarza, na ustach zaś tak wyraźnie zarysował się ów właściwy jej uśmiech, że w chwili tej prawie odpychającą wydała się Germanie.

— Nie byłbym lekarzem, gdybym nie posiadał pewnej wiary we własną umiejętność — odparł poważnie i spokojnie, opanowawszy ogarniające go oburzenie. — a wreszcie hrabianka nie ma tu lepszego wyboru, albowiem w Pastro ja jestem jedynym lekarzem.

— Więc trzeba posłać do miasta... — odparła Dora żywo, nie zastanawiając się nad tem, jak przykrą temi słowy wyrządza doktorowi zniewagę.

— Dotychczas nie zauważyłem jeszcze potrzeby zawezwania pomocy którego z moich kolegów — odparł Marko chłodno — jeżeli, jednak, żona chorego będzie sobie tego życzyła...

— Od nas to zależy — przerwała niecierpliwie hrabianka, zwracając się do stryja, na którego twarzy wyraźnie znać było niezadowolenie z obrotu rozmowy.

Germana uchyliwszy kapelusza, z lekkim ukłonem cofnął się do odejścia, gdy hrabia Giovani zatrzymał go, mówiąc:

— Bądź doktorze łaskaw zawiadomić nas o zdrowiu swojego pacjenta; jest to stary sługa naszej rodziny, dla uratowania go przeto bez wahania uczynimy wszzstko, co pan uznasz za potrzebne.

Ostatnie wyrazy wypowiedział ze znaczącym naciskiem, jak gdyby pragnął załagodzić nie takt synowicy.

Marko oddalił się. Opanowały go znów to samo nie miłe, przygnębiające uczucie, jakie wczoraj męczyło go, po przelotnem spotkaniu z hrabianką. Propozycje markiza znów przyszły mu na myśl.

Nie był zarozumiałym. ale dziś urażono go w punkt najsłabszy u każdego człowieka, w wiarę w samego siebie, w to, że czemś jest na świecie, coś wie i coś umie.

Zapominając zupełnie o uroczej piękności młodej hrabianki, którą przed chwilą jeszcze podziwiał, czuł tylko, że głęboką ma do niej urazę i silną antypatję.

III.

Ogrodnik w cudowny niemal sposób powrócił do zdrowia. Los, jak gdyby chcąc wynagrodzić przykrość wyrządzoną Germanie, zrządził, że zaraz już nazajutrz choroba przybrała obrót łagodniejszy i nie dalej, jak w czternaście dni potem wszelki cień niebezpieczeństwa zupełnie usunięty został.

Hrabia Giovani tymczasem pewnego dnia odwiedził doktora Germanę w jego skromnym domku; prawdopodobnie nie byłoby mu, ani na myśl nie przyszło to uczynić, gdyby nie chęć ostatecznego zatarcia lekceważących słów Dory, której zarówno dostało się od stryja jak i od matki delikatne, lecz poważne napomnienie.

Nie każdy, jednak, skorym bywa do zapomnienia uraz. Marko mściwym nigdy nie bywał, ale zapomnieć przychodziło mu to z trudem.

Od czasu tych odwiedzin przerwały się, ostatecznie, wszelkie stosunki między zamkiem i doktorem, nawiązane chorobą ogrodnika.

Raz, ledwie od obiadu sprzątnąwszy, wręczyła Elia Markrwi list w wytwornej kopercie, mówiąc że przyniesiono go z zamku. Marco po charakterze pisma odrazu poznał rękę markiza del Sagora.

— To niepodobna, Elio, — odparł — ten list nie może pochodzić z zamku. Od jakiegoś czasu ogromnie jesteć roztargniona

To mówiąc, rozwinął kopertę, a Elia zarumieniła się aż po białka oczów, czuła, bowiem, dobrze całą słuszność zarzutu doktora. Na ten raz, jednak, niesprawiedliwie posądził ją Marko; odparła więc, odzyskawszy śmiałość:

— Owszem, proszę pana, to pismo przyniósł człowiek z zamku i nawet czeka na odpowiedź.

Germana, nieprzyjemnie jakoś zdziwiony, szybko przebiegł oczyma treść listu:

»Wczoraj, późnym wieczorem, przyjechałem do Pastro, do mojej ciotki, wraz z żoną, której chciałbym cię, jak jaknajprędzej przedstawić. Przybywaj uściskać stęsknionego do ciebie druha, który po długiej, nieznośnej podróży kompletnie się czuję wyczerpanym, złym i znudzonym.

Twój Pietro.«

Marko, nie wahając się, ani chwili, siadł przy biurku i napisał odpowiedź następującą:

»Ja niemniej jestem stęskniony do ciebie, ale są względy, dla których na zamku być sobie nie życzę. Odpocznij, lub przezwycięż zmęczenie i sam przybywaj do niecierpliwie wyglądającego cię przyjaciela.

Marko.«

Zaledwie po upływie dwóch godzin, czterokonny faeton zatrzymał się przed domkiem doktora i Pietro del Sagora stał w progach swego przyjaciela. Nie zastał go, jednak, w domu, gdyż wyszedł odwiedzić swych pacjentów.

Gość z przyjemnem zdziwieniem mierzy okiem Elję, która go objaśniła, gdzie jej pan poszedł i kiedy zapewne wróci, a niezwykła uroda dziewczyny nasunęła mu myśl, od której wybiegł na jego usta mimowolny uśmiech.

— To nic nie szkodzi, moje dziecko — odparł wesoło — poczekam chętnie na niego, a ty przez ten czas będzież mnie bawiła, żebym się nie nudził.

Elja, zarumieniona, nie wiedziała co sądzić o jego spojrzeniach i uprzejmem, poufałem zachowaniu, do którego nigdy nie była przyzwyczajona, jej pan, bowiem, obchodził się z nią bardzo łaskawie ale poważnie. Chętnie i pospiesznie otworzyła markizowi drzwi do pracowni doktora.

Sagora rozejrzał się ciekawie dookoła, następnie znów zerknął na Elję, która nieśmiało przy drzwiach na progu stała.

W pokoju panował wzorowy porządek czystość nieskazitelna w każdym, najdrobniejszym szczególe znać było staranność troskliwej, kobiecej dłoni.

Firanki u okien były białe, niby śnieżny puszek. Hebanowa rama dużego zwierciadła objęta była gustownym wieńcem ze świeżych, polnych kwiatów; kominek przyozdobiony był zręcznie poukładanemi pękami piór pawich, na ścianie wisiało za szkłem w skromnych ramkach kilka artystycznych sztychów, przedstawiających sceny rodzajowe, głośno tykocący zegar w drewnianej szkatule zdradzał prosty, niekosztowny, ale rzetelny wyrób szwajcarski, obok biurka w szklanej szawce połyskiwały stalowe narzędzia lekarskie. Słowem, aczkolwiek nie było tu śladu bodaj przeciętnej choćby zamożności, dobrze tu było jakoś, przyjemnie, jasno i wesoło, weselej może, niż w niejednym przepysznym pałacu. Na żadnym z mebli nie było znać pyłka kurzu, nigdzie śladu popiołu, zapałki, niedopalonego cygara, albo papierosa. Przez okno było widać ogródek niewielki. lecz pełen woniejących, ślicznie utrzymanych kwiatów.

— Mówże mi co o doktorze! — zawołał do Elji, rzucając się na krzesło. — Jesteśmy przyjaciółmi od najmłodszych lat szkolnych, a siła czasu nie widzieliśmy się z sobą. To też przyjechałem umyślnie, aby go ztąd zabrać.

Markiz chciał jeszcze coś dodać, lecz zauważył, że twarzyczka Eli posępnieje, chmurzy się, usta drżą, a oczy zachodzą łzami.

— Cóż ci to, moje piękne dziewczę? — zawołał zrywając się z miejsca i ujmując ją za rękę.

— Ach, panie, gdybyś pan wiedział, jak strasznym ciosem, byłby brak jego dla mnie... to jest dla nas wszystkich!... nie dziwiłbyś się memu przerażeniu.

— Czyżbyś go tak kochała?

Elja, do najwyższego stopnia zmieszana i zażenowana, cofnęła się o kilka kroków przed badawczym wzrokiem markiza.

— Skądże znowu... ja, biedna, prosta służąca...

— Cóż z tego; jesteś niemniej bardzo ładną.

— Pan doktor nigdy mi tego nie powiedział... — szepnęła Elia, sama prawie niewiedząc, co mówi.

— Biedne dziewczę! — rzekł na wpół niedowierzająco, nawpół z litością del Sagora. — Ależ nie spostrzedz tego, że jesteś tak piękną, chyba niktby nie mógł!

Elia spuściła oczy, nie wiedząc, co ma z sobą zrobić, ani co mówić.

— A wreszcie — dodał mimochodem markiz — jeżeliby signor Germana zgodził się opuścić Pastro, przecież nikt nie zabroniłby mu ciebie wziąść z sobą... Są osoby do których przyzwyczaiwszy się, które polubiwszy, trudno człowiekowi porzucać, więc niemal pewny jestem ..

W tem zamilkł nagle, gdyż dały się słyszeć przed domem szybkie męskie kroki i po chwili Germana stanął na progu swej pracowni. Elia niepostrzeżenie wysunęła się z pokoju.

Przywitanie obu przyjaciół było szczere i serdeczne, ze strony Sagory nawet dosyć hałaśliwe, bo on się pocichu cieszyć nie potrafił. Zaczął od wymówek.

— To tak. Do tego doszło, ty niepoczciwy, niegodziwy... Zmęczony, zdrożony, jak nieboskie stworzenie — sfatygowany człowiek aż tu szukać cię musi, zanim dostąpi zaszczytu ujrzenia twego oblicza. Co to za jakieś powody, dla których na zamek przyjechać nie chciałeś?

Twarz Marka spochmurniała na to pytanie; zmarszczył czoło niechętnie i przygryzając usta, odparł wymijająco:

— Wierzaj mi, drogi Piotrze, wszędzie, gdziebyś mnie zawezwał, pospieszyłbym z ochotą, ale tam, na zamek... wielcy państwo, dumni... narzucać im się nie chcę.

— Osobliwsze skrupuły. Dlaczegożby twoja wizyta miała być narzucaniem?

— Więc powiem ci wręcz, otwarcie, że nie sympatyzuję z rodziną hrabiny, a w szczególności hrabianki nie lubię. Ma ona jakiś dziwny, lekceważący, impertynencki sposób traktowania ludzi mało sobie znanych, o których nawet wiedzieć nie może, na co zasługują: na wzgardę, czy też może na poważanie. Umiarkowany takt, grzeczność dobrem wychowaniem dyktowana, byłaby na miejscu, a skoro jej nie ma, trudno narażać się komu, na jakieś szyderskie uśmiechy i dojmujące półsłówka, pustej, zarozumiałej lalki. Ja, przynajmniej, nie mam do tego potrzeby, ani najmniejszej ochoty.

— Jakto?... Czyż mam z tego wnosić że Dora cię czem obraziła? Dora, ta najlepsza, najpoczciwsza z dziewcząt? Opowiedzże, mój drogi, co między wami zaszło.

Marko w krótkich słowach objaśnił przyjaciela, na jakiej zasadzie żywi do hrabianki urazę, a podczas, gdy mówił, po raz pierwszy dopiero przyszło mu na myśl, że jednak, gdyby ta dumna, sarkastyczna hrabianka była mniej piękną, gdyby jej wdzięki nie były na razie tak bardzo go zachwyciły, to kto wie, czy byłby wziął równie żywo do serca jej dziecinną, poprostu niegrzeczność i brak zastanowienia? Tembardziej, że przecież ze strony Giovanni miał aż nadto dowodów uznania i chęci powetowania grzechu synowicy.

To też i Sagora pojął kwestję ze strony daleko mniej tragicznej.

— Tfu! pal licho takie głupie obrazy! Zabieraj się, musisz ze mną jechać.

Lecz Marko stanowczo się temu oparł.

— Nie, mój drogi, daruj wdzięczny ci jestem za twe poczciwe serce, ale pozostanę przy własnem zdaniu. Nie lubię się wdzierać do sfer, do których, ani majątkiem, ani urodzeeiem nie należę. Ty mnie kochasz wiem o tem, ale tamci mnie nie lubią, ja ich także na wzajem; po co mamy sobie wzajemnie kwasić wesołe chwile? Przyjeżdżaj do mnie codziennie, nagadamy się do woli. Całe wieczory spędzać będziemy z sobą; dni zarywać nie mogę, mam chorych.

— Bodaj cię jeszcze z twą czułą przyjaźnią! A to na zamek iść nie możesz, to znów w dzień nio możesz... Będziesz mnie poświęcał dla zgrai obdartusów...

— Każdy z członków tej zgrai jest takim samym człowiekiem, jak ty i ja — odparł poważnie Marko — Życie, siły i zdrowie jest dla nich równie pożądane, a o wiele potrzebniejsze i konieczniejsze, jak dla najmożniejszych. Bogacz ma czas chorować i środki, by się leczyć w wygodach i przepychu, podczas, gdy ci biedacy ani czasu, ani pieniędzy na to nie mają. Każdy dzień bez pracy jest dla nich kwestją bytu.

— Jesteś wyskokiem demokratyzmu i pedanterji! — zaśmiał się Sagora, w gruncie najzacniejszy człowiek, lubiący się, jednak przekomarzać z Markiem. — Zarodki tych pięknych przymiotów tkwiły w tobie już od dawna, ale też teraz, po kilkuletnim pobycie w tem chińskim, murem od świata oddzielonem ustroniu, do niemożliwości stertyczałeś, mój drogi.

— Ależ zastanów się, mój kochany, pomyśl, sam przyznasz mi słuszność.

— Nie chce mi się myśleć. Oto siadaj obok mnie, bierz porządne cygaro, jakiego tu, w tej dziurze, ani poświeć i spowiadaj mi się wiernie ze wszystkiego, co od czasu naszego rozstania zbroiłeś.

Germana zajął miejsce obok Piotra.

— Wręcz przeciwny porządek należałoby zachować. Cygarem ja ciebie powinienem poczęstować, jako mego gościa; spowiedzi zaś, twoje sumienie potrzebuje więcej, niż moje, bo ja, choćbym nieraz miał skłonność i ochotę do grzechu, to miejsca, czasu, ani okazji do żadnej zbrodni z latarnią tu nie znajdziesz.

— Ho, ho, proszę! Świętoszka będziesz udawał! A ta piękność, która u ciebie rządy pełni?...

To mówiąc, Pietro mrugnął okiem znacząco.

— Jaka piękność? — zapytał z nieudanem zdziwieniem Germana.

— Nie udawaj, mój drogi. Służąca twoja czy gospodyni, która na samo wspomnienie że mógłbyś kiedyś opuścić Pastro i ją zostawić samą od łez powstrzymać się nie może.

— Elia?! — zawołał, niemile tą mową dotknięty Marko.

— Elia jej na imię? No, proszę, nie wiedzieć co piękniejsze, imię, czy osoba.

— Ale zkądże ona wie o tem, że nastręcza mi się sposobność opuszczenia Pastry?

— Musiałeś jej coś powiedzieć o tem.

Germana wzruszył ramionami.

— Cóż znowu? Jakaż myśl dziwaczna! Nie mam zwyczaju opowiadać się służącym z moich spraw i zamysłów.

— Ale propozycję moją przyjmiesz?

— Miałeś w tej sprawie już listowną odpowiedź odemnie.

— Miałem. ale się nią nie zadawalniam. Na usprawiedliwienie odmowy przytaczasz jakieś dziwne, nic nieznaczące powody... Doprawdy, jeżeli trwać będziesz w swoim uporze, to chyba wstrzymuje cię tu jakaś osobliwsza potęga, której otwarcie po imieniu nazwać przedemną nie wiedzieć dla czego, nie masz ochoty.

— Chcesz wiedzieć szczerą prawdę?

— Nakoniec!

— Więc słuchaj: jestem młody, zdrów i silny, w takich warunkach przyjmować z łaski przyjaciela pieczone gołąbki i kołacze bez pracy — mojem zdaniem, byłoby sromotą. Dalej, mam jaką taką naukę i zamiłowanie do obranej drogi; drogą tą krocząc postanowiłem zajść daleko i to bez niczyjej pomocy, sam, o własnych siłach.

— I dalekiego tego celu myślisz szukać tu, w tej brudnej, nędznej dziurze, deskami od reszty świata zabitej?

— Tu, równie, jak gdzieindziej, jest wiele do zdziałania.

— Jesteś oryginał, cudak, idealista, pedant, demokrata!... — wyrzucił jednym tchem Sagora i sam nie wiedział, jak się to stało, że wściekłym będąc ze złości, rzucił się, jednak, Markowi na szyję i jął go serdecznie całować.

Doktor, znając przyjaciela, nie zdziwił się kontrastem, zachodzącym między jego słowami, a czynem.

W tem, rozmowę ich przerwało zupełnie niespodziewane zdarzenie.

W przyległym pokoju o tej porze dnia czekali zazwyczaj na doktora pacjenci mniej chorzy, którym stan zdrowia pozwalał po poradę samym do niego się zgłaszać. Przez cienkie drzwi, wiodące od pracowni, wyraźnie słychać było każde słowo z rozmowy dwóch przyjaciół. Całego przebiegu jej treści wprawdzie nie pojmowali poczciwi wieśniacy, tyle tylko zrozumieć zdołali, że chodzi o wyjazd z Pastro ich ukochanego doktora, Nie mogli dłużej wytrzymać w spokoju i chociaż nie śmiało, ale wyraźnie do drzwi zapukali.

Germana, słysząc pukanie, uśmiechnął się i rzekł do markiza:

— Widzisz, jest to sygnał, wzywający mnie do obowiązków. Tam chorzy moi czekają; o tej godzinie zwykle przyjmuję ich u siebie. Przypominają mi oni tym znakiem, iż jako ludzie pracy, nie mają czasu czekać.

— Więc dla mnie już tu miejsca nie ma? Precz iść muszę?

Doktor zbliżył się do drzwi, z zamiarem zaproszenia pacjentów o chwilę cierpliwości, ale wyjrzawszy do drugiego pokoju, nie mógł już drzwi napowrót zamknąć, bo chłopi, ilu tu ich było, czterech, czy pięciu, nieproszeni wtargnęli do pracowni i z iście włoską żywością i namiętnością ruchów rzucili mu się do nóg, za kolana i ręce obejmowali, ze łzami w oczach błagając, aby ich nie porzucał, bo cóż poczną nieszczęśliwi, w co się obrócą, gdy im jedynego zbawcy opiekuna zabraknie?

— Czego chcecie? co wam się stało? — pyta Marko zmieszany i zdziwiony tą sceną.

— A bo słyszeliśmy tu przez drzwi, jak ten oto pan — tu z nienawistnem spojrzeniem wskazali na Sagorę — namawiał was, signor dottore, abyście pojechali z nim do wielkiego miasta, że wam tam lepiej będzie, niż tu... A nieprawda, bo was na całym świecie nikt tak nie pokocha, jak my was kochamy!

— Nie macie się czego lękać, zostaję z wami, nigdzie nie pojadę! — rzekł Marko stanowczo. — Usuńcie się teraz do drugiego pokoju i poczekajcie trochę, nie długo do was wyjdę.

Uszczęśliwieni biedacy, namęczywszy go jeszcze chwil kilka dziękczynnymi uściskami i pocałunkami, jakiemi obsypywali jego ręce, zostawili nakoniec dwóch przyjaciół samych.

— Widzisz — rzekł Marko — tak wdzięczne zdobywszy sobie serca, tem większe mam dla nich obowiązki...

Pozorna surowość, którą przybrał rozmawiając z wieśniakami, znikła teraz bez śladu, na ustach zarysował mu się uśmiech, którym starał się zamaskować wzruszenie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

B. w Chicago. Prezesem wystawy, jest książę Adam Sapieha

D...y w Krakowie. Nie będzie drukowane.

Pan Rogosiński w Elisabeth. Cztery dollary otrzymaliśmy — prenumerata zapłacona teraz do dnia 1. maja 1894 r.

Od Ekspedycji.

Do niniejszego numeru dołącza się do całego nakładu: **Cennik Księgarni katolickiej w Poznaniu.**

Nadesłane.

Z Tarnopola. (5495-st.-24)

Bardzo słusznie jakiś mądry człowiek napisał że kto pracuje w swoim fachu pożytecznie i uczciwie, tem samem jest patrjotą, bo pracą swoją przyczynia się do ogólnego dobrobytu Tacy ludzie są pożądani, szczególniej u nas na prowincji gdzie jak wiadomo, kupiec przemysłowiec walczyć musi z różnemi przeszkodami. Wśród przedsiębiorstw na zdrowych kupieckich podstawach opartych, cukiernia p. Dąbrowskiego w Tarnopolu, niezawodnie należy do najlepszych zakładów. Pod względem urządzenia, a szczególniej też pod względem cukierniczych wyrobów, zakład p. Dąbrowskiego, nie ustępuje ani na krok najpierwszorzędniejszym cukierniom, nawet w wielkich miastach. Złożyły się na to, przykładna staranność i rzetelność właściciela, oraz niezwykłe fachawe jego wykształcenie. To też p. Dąbrowski, nietylko jako właściciel cukierni i kupiec zażywa powszechnego uznania, lecz jako gorliwy obywatel, cieszy się szacunkiem i sympatją Praca i rzetelność sprowadziły dla przedsiębiorstwa p. Dąbrowskiego dobre owoce, a szlachetny charakter i przymioty jego serca, zjednały mu imię dobrego i bardzo pożytecznego obywatela.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. zyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117